ZESZYT XIX + 1920 + PAŹDZIERNIK

CENA ZESZYTU MK 20



PLACÓWKA

ILUSTRACJA POLSKA

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 31 PAŹDZIERNIKA 1920 ROKU. ZESZYT XIX.

PLACÓWKA
Ilustracja Polska
DWUTYGODNIK

W Dniu Zadusznym pamięci poległych za Ojczyznę poświęcam.

Szumią liście...

Szumią liście, szumią — złote,
Na mój smutek i tęsknotę...
A szum rośnie w harfy granie —
Na mej glebie — na mym łanie.
Ponad łanem, ponad glebą,
Pieśń tajemna bije w niebo!
Szumią liście, szumią złote,
Na mój smutek i tęsknotę...

Szumią liście, szumią w głuszy —
Echo płynie do mej duszy...
A tam—w kniei i w parowie —
Wicher niesie w dal listowie —
Na błękity sypie złotem,
Deszczem słońca, gwiaździc lotem!
Szumią liście, szumią w głuszy,
Echo płynie do mej duszy...

Szumią liście... liści tyle...
Szumią pieśnią na mogile...
Lecą złote żyzne płaty —
Na serdecznych ran szkarłaty...
Złote liście płoną w ranie
Na wiosenne zmartwychwstanie!

. . . .

Szumią liście... liści tyle...
Szumią pieśnią na mogile...

WALENTY ZIELIŃSKI.

Ignacy Grabowski.

PLEIN AIR.

Patrząc na formy rządów przez teleskop panhistorji dochodzimy do wniosku, że istnieją tylko dwie, lub stan rzeczy bliższy jednej lub drugiej. Despotyzm, tyranja, jednowładztwo lub wolność, konstytucjonalizm, demokratyzm. Formy krańcowe, często zdarzają się rzadko, a jeżeli bywają to trwają krótko, chodzi o zbliżenie się do ideału pierwszego lub drugiego.

Społeczeństwo oddycha albo pełnią powietrza, lub powietrzem dostatecznie czystem, aby krew obiegała zdrowo po ciele t. j. żyje w plein-airze, albo dusi się w podziemiach ciemnicy, pleśni tyranji. Tyranja z natury rzeczy boi się światła, działa poruszeniami tajemnemi, ukrytemi, działa konspiracją. Ustrój wolny, konstytucyjny, demokratyczny pracuje w pleinairze jawności. Jesteśmy wobec dwóch sprzecznych metod: konspiracji i jawności.

Zbędne jest dowodzić, że Polska, rasa polska chce żyć w stanie wolności społecznej. Zatem metodą jej działania publiczno-państwowego musi być jaknajszersza tendencja do jawności. Prać brudy trzeba często i dobrze, to jest mocno, bez oszczędzania mydła. Bo zauważmy że życie wolne, życie natężone, życie pracy wymaga częstszej kąpieli, niż letarg więźnia.

Od lat stu pięćdziesięciu, to jest od czasu wiwisekcji rozbiorów, wszystko to, co było w Polsce rasą uświadomioną, estetyczną i zarazem bjologicznym wyrazem siły, żyło konspiracją, bądź czynem konspiracyjnym, bądź marzeniem. Konspiracja była w sercu i w mózgu. W literaturze, w działaniach powstańczych, w biernej pozycji mas powszednich. I wtedy konspiracja, ów ślepy upór i odpór, nie do złamania i nie do pochwytu, była prawdą i moralną i estetyczną, bo w istocie rzeczy jest to to samo. Zarówno morał jak i estetyzm są stosunkiem w matematyce psychizmu.

W dzisiejszych warunkach życia polskiego metoda konspiracyjna jest już paleontologją. Można oglądać w muzeach szczątki mastodontów i ichtiosaurów można i trzeba z tych danych pogłębiać poglądy historjozoficzne, ale niedorzecznością byłoby dla tych mastodontów i ichtiosaurów budować menażerje i aquaria. Fala życia porywa, postęp, zapatrzony w niewygasającą siłę słońca, wymaga zasady jawności. Francuzi zburzyli Bastylję, podziemia i nory, gdzie szczury żywcem zjadały ludzi. Dla czego w Warszawie istnieje samа nazwa X pawilon cytadeli? Jeszcze martyrologja. jeszcze sadyzm niewoli, jeszcze jęk! Nie ciemność, wilgoć, pleśń, męczeństwo, ale światło, plein-air, woda źródlana, twórczość. Powtarzam, Francja zburzyła Bastylję bez reszty. Nie smaruje swego białego chleba powszedniego namaszczonym olejkiem z męczenników. Ma takich męczenników setki tysięcy pod Verdunem, Soissons, Rheims. Ten naród, prawdziwie wolny, z olimpijskim wieńcem zwycięstwa na skroniach, wie że z najzasłużeńszych zwłok wylęga się robactwo: nekrofile i nekrofagi.

Po całej Polsce, jak szeroka, mnożą się narzekania, urastają fakty, że upiór konspiracji, którego ciało po ciężkich cierpieniach legło w grobie, którego ciału rzeźbiarze młodej Polski zapewne kiedyś postawią pomnik, skoro pęd twórczy ich ku temu zniewoli, że upiór konspiracji o ciemnych skrzydłach lata, starając się zasłonić światło. Jeżeli ten upiór, w swoim właściwym czasie przychodził do carskich łoży Mikołaja, Franc Jozefa lub Wilhelma, prowadząc za rękę straszliwe widma przyszłości, był to prawy demon Nocy, dziecko wygasłych ludów Księżyca, wysłaniec umarłych. I niósł z sobą potęgę śmierci tym kształtom, które już na przemianę skazane.

Ale dziś? gdy nastał ranek, gdy rosa poranna ożywiła spragnione życia źdźbła, gdy zarumienione i chłodne jeszcze słońce ociepla się z każdą sekundą, dzisiaj to już nie Demon z berłem władzy, a spóźniony, obłąkany nietoperz, któremu zdaje się że ma skrzydła ptaka. Nietoperz-megaloman. Okaz do wypchania. Zwarjowane stworzenie przyziemne.

Konspiracja przeciwko komu? Dzisiaj może być tylko jeden przedmiot konspiracji: naród, natura, życie. I walka tego upioru ze zdrowiem publicznem, z zasadą jawności, z pleinairem.

Maż Polska umrzeć na suchoty konspiracyjne, tym razem śmiercią komiczną, jako plasmodjum nietwórcze? Maż kilka tysięcy, a mo-



Stanisław Lentz. Ostatni profesorowie b. Szkoły Głównej w dniu 50-lecia.

435

436

że mniej nawet, wiecznych konspiratorów, będących już z tamtego świata rzeczywistości, terroryzować miljony z tego świata czarną magją i propagandą fetyszyzmu? Gdzież jest młodzież, młoda Polska, deklemowane słowa: „ty nad poziomy”!... Czyż jest to logos, które nigdy nie stanie się ciałem, więc pusta przechwałka? Nie jest że to twarz—wiara prometejska, ale obrzydła, wykrzywiona, małpia maszkara zabobonu?

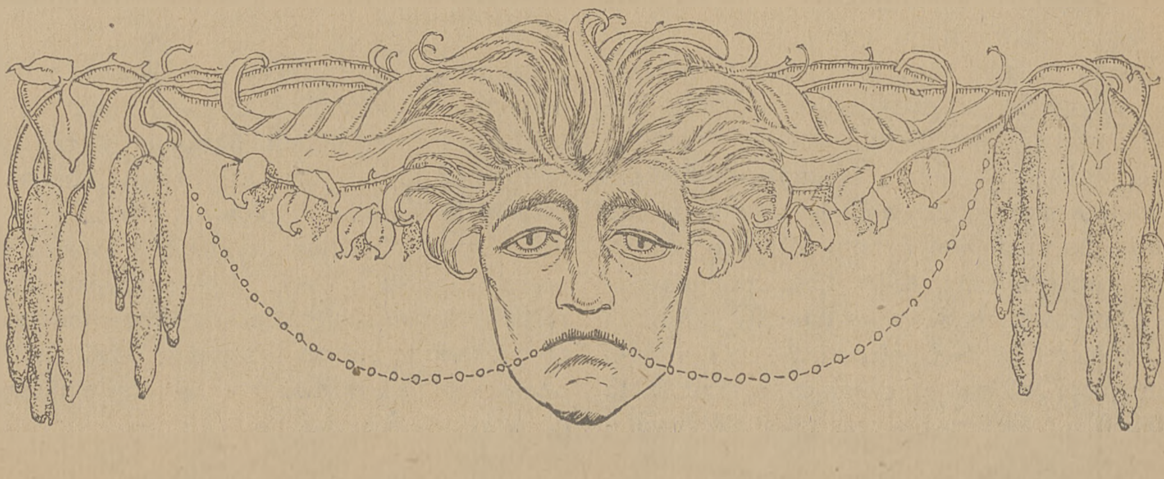
Przed laty kilkunastu towarzysze konspiratorzy oskarżyli jednego z swoich towarzyszów Stanisława Brzozowskiego o zdradę. Potępili go, chociaż były i głosy przeciwne. Ten człowiek z pewnością nie był Polakiem, miał inne sfery upodobań i popędów, nikt mu z tego powodu zarzutu czynić nie może. Ale był to umysł bystry, przenikliwy, docierający tam, gdzie jego towarzysze dojść nie mieli tchu. Ten człowiek napisał „legendę o młodej Polsce„, to jest zaprzeczył jej siły patrjotycznej do odnowy narodu i państwa. Zbłądził tylko w jednem. Zapomniał dodać dla ścisłości: „pisałem o tych którzy przewinęli się w mojem otoczeniu, z którymi pracowałem”. Słowem popełnił błąd przez uogólnienie nieprawowite.

Ale co do przedmiotu, jaki poznał, przeniknął prawdę, jedną z tych, jakie wtedy były jeszcze poza zasłoną Izydy. Ta jego młoda Polska miała w sobie chorobę degeneracji, wynaturzenia. Niedostępnym towarzyszem jej był chochoł, mara prześladowcza. Czegokolwiekbądź się dotknęła, sztuki, literatury, polityki, a czyniła to nieraz błyskotliwie i efektownie, wszystko umierało na jej ręku, niezdatne do życia. Potężna była tylko w jednem: gdy spowiadała się z własnej niemocy, świadectwem — Żeromski i Wyspiański. I ci nie umrą... przez akt szczerości.

Innych nie stać było na „wyzwolenie”. Gros kolumny pod pałeczką tamburmażorów kroczyło ślepo szlakiem konspiracyjnym, jeszcze rozzuchwalone, jeszcze gorączkowo podniecone splotem dziejowych wypadków. „Boże! jakim ty dajesz stworzeniom chwile tryumfu i urągowiska”— mówi jedna z osób Szekspira. Aby konspirować!: z Austrjakiem? dobrze, z Prusakiem? dobrze, z Żydem? dobrze, z Bolszewikiem? dobrze. „Pareat Polonia, vivat conspiratio!

Była chwila, w pierwszej godzinie odzyskania wolności, gdy przez wszystkie mózgi przechodziła jedna iskra zjednoczenia. Ta iskra mogła była rozżarzyć się w wielką ciepłość wspólnego działania twórczego. Nic z tego. Konspiratorzy stanęli jak Cerber u wrót piekieł, nie dozwalając narodowi wydobyć się na świeże wolne powietrze. Powtarzali szamańskie wyrazy nikłe i małe jak „burżuj” „chłop” „robotnik” „lud” „proletarjat“, żaden nie wymówił potężnego logos: „naród”. I wloką dalej nędzny żywot podziemny.

Nacjonalizm twórczy patrzy na konspiratorów spokojnie, jak na efemerydy. Życie pcha miljony do życia wolnego. Jeżeli kto przypuszcza, że Polska da z sobą zrobić taki eksperyment, jak Rosja, ten jest przybłędą w Polsce, chociażby polszczyzną propagował zasady mongolsko-żydowskiego idjotyzmu. Hasło demokracji to plein-air, jawność w stosunkach, publiczność, prawda chociażby ostra i bolesna, ale prawda. Operacja z cierpieniem, jeżeli być musi. Nacjonalizm wiary. Dlań powijaki niemowlęcia i trumna starca, to jedna ciągłość idei nieśmiertelności, to jest—narodu.



2).

Jan Klim, ppułk. Sztab. Gen.

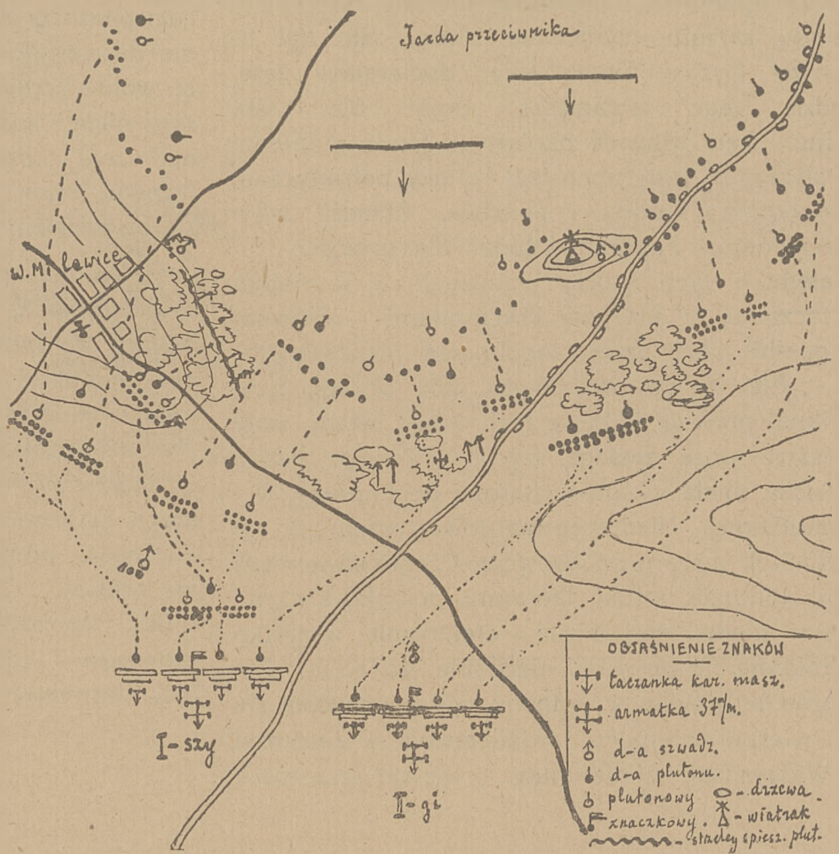
ZNACZENIE KONNICY W WOJNIE MANEWROWEJ.

W XVII N-rze *Placówki* wyjaśniłem jak wielkiem jest znaczenie konnicy w wojnie manewrowej, jak ważnem są jej zadania, i jakie charakterystyczne cechy winna zachować konnica, by podołać tym zadaniom. Cała akcja wojsk w polu składa się z marszu-manewru i boju. Za pomocą manewru konnica uzyska jaknajlepsze warunki dla boju, a temsamem zmusi prz-ka przyjąć bój w warunkach dla niego jaknajmniej korzystnych. Celem marszu-manewru jest bój.

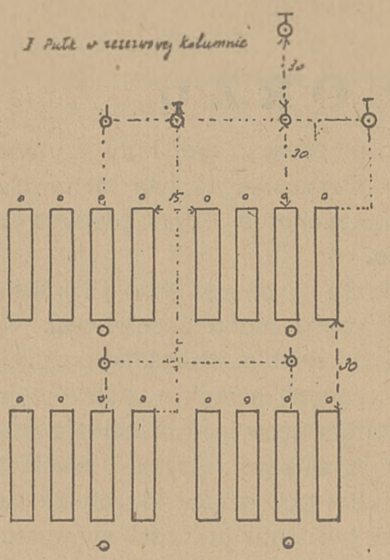
Konnica, czy to wchodząca w skład grupy złożonej ze wszystkich rodzajów broni, czy też działająca samodzielnie, wspiera w pierwszym wypadku bezpośrednio w drugim pośrednio wojska innych rodzajów broni w ich akcji skierowanej ku temu samemu celowi. Oprócz tego głównego zadania konnicy jest ona narzędziem dla wywiadów, dla stworzenia kurtyny, zasłaniającej manewr naszych wojsk, wreszcie dla rejdów i partyzantki. Tak główne jej zadanie, jak i inne rodzaje użycia konnicy wymagają od tej ostatniej swojego rodzaju taktyki, a zatem i organizacji, którąby pod żadnym pozorem nie paraliżowała tak niezbędnej temu rodzajowi broni elastyczności, ruchliwości i nieuchwytności.

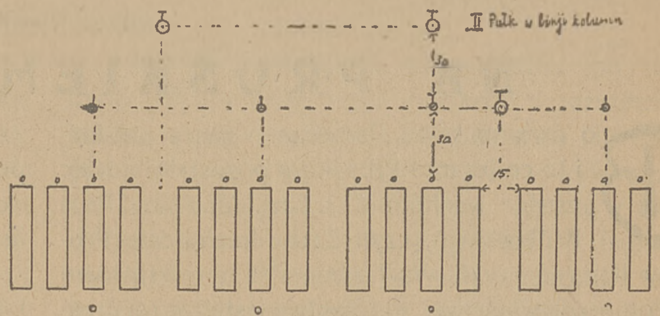
Te wyjątkowe cechy konnicy zabezpieczą jej szeroki i swobodny rozmach manewru bez obawy o swe tyły, o przestrzeń dzielącą ją od innych wojsk działających w tymże kierunku nawet od swej bazy.

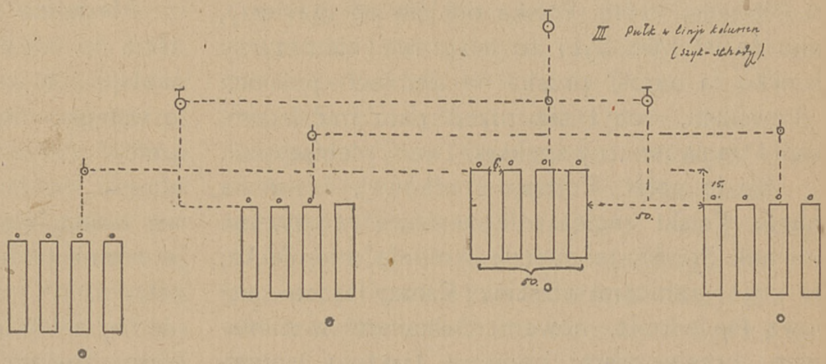
Rosyjski szt. generalny taktykę boju konnicy opierał na zastosowaniu lawy, a to z tego powodu, że upatrywał w boju konnicy wszystkie charakterystyczne cechy boju spotkaniowego — improwizacji w wyższym stylu. Jeżeli w ubezpieczeniu d-cy elementy—czas i przestrzeń mają niemal decydujące znaczenie, to w bojach spotkaniowych czas musi być wygrany ruchliwością, przestrzeń i braki terenu wygrane i dopełnione elestycznością i nieuchwytnością, gwarantującemi odporność przeciwko ciosom przeciwnika i własny sukces. Poniżej zamieszczony rysunek przedstawia działania ławy dwóch szwadronów konnicy (każdy szwadron uzbrojony jest w cztery k. m. na saneczkach po jednym k. m. na pluton i jedną armatę 37 mm. na szwadron) w dwóch fazach 1) kropkami pokazane rozejście się plutonów na ogniwa z wyjątkiem trzeciego plutonu 1-go szwadronu wspo-

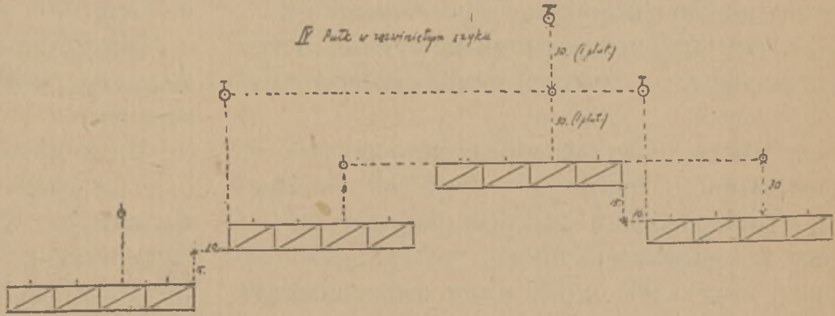


magającego spieszonemi strzelcami karabiny maszynowe i armatkę ustawioną we wsi na wzgórzu i z wyjątkiem trzeciego i czwartego plutonu 2-go szwadronu, pozostawionych dla przykrycia środków ogniowych i w celu atakowania prz-ka w zwartym szyku. 2) kreska oznacza przejście ognia w lawę. Nie pokazane jest na rysunku t. zw. „zwieranie szwadronu na flanki", co praktykuje się po fałszywym odwrocie wciąganiem prz-ka w zasadzkę w celu atakowania go w zwartym szyku.









Bój spotkaniowy wymaga jaknajszybszego ujęcia inicjatywy w swoje ręce i wyrwania jej prz-kowi, zatem jaknajszybszego wprowadzenia w bój wszystkich sił i środków, to też konnica tak w marszu-manewrze swoim jak i w szybkiem rozwinięciu swych kolumn marszowych do boju nie może być krępowana ilością, rodzajem i stanem dróg, a kolumny marszowe poszczególnych jednostek taktycznych muszą odpowiadać tym wymaganiom. (rys. II).

Lawa jest jedynym racjonalnym sposobem działania konnicy w boju; jako taktyka boju konnicy wymaga od każdego i wszystkich jeźdźców samodzielnego myślenia, działania i stosowania do każdorazowego położenia pewnych ugrupowań najwięcej odpowiadających danej chwili, a jako takowa pozbawiona jest wszelkich przepisowych szyków i form.

Co się tyczy kolumn marszowych, o których wspomniałem wyżej, jak również szyków rezerwowych i manewrowych, to tutaj formy i przepisowe szyki mają kolosalne znaczenie, dość jest jednak zajrzeć do francuskiego regulaminu jazdy, by wzupełności się zgodzić, że jedynie racjonalnemi kolumnami marszowemi są kolumny dwójkowe i czwórkowe. Te ostatnie jako najmniej głębokie i w formowaniu najmniej skomplikowane, zabezpieczają wzupełności ład i szybkość koncentracji sił, czy w masę w kolumnie czwórkowej, czy w linję kolumn (rys. III). Szyk rozwinięty jest podstawową formą dla zwartego ataku (rys. IV). Miarą wyszkolenia konnicy w czasie pokoju są wymagania stawiane jej przez wojnę czyli taktykę jej. Organizacja zaś musi być w zupełności zastosowana do taktyki właściwego rodzaju broni, zatem musi być głęboko obmyślona i gruntownie uzasadniona.



Gustaw Olechowski.

NA PRUSKIEM POMORZU.

Bo dwa są teraz Pomorza:— nasze polskie, i to co jeszcze Prusakom pozostało: a więc część wschodnia t. zw. dawniej Prus Królewskich, czyli Zachodnich i całe Prusy Książęce czyli Wschodnie. Na tem Pruskiem Pomorzu, właściwej krzyżactwa ostoi, w tej części Niemiec, którą Polska odcięła od macierzy, jako że istotnie było to nieprawe niemczyzny dziecko ta narośl pruska na ziemiach polskich i litewskich, odbył się przed paru miesiącami wielki tragikomiczny spektakl zwany plebiscytem.

Bo ta połać Europy środkowej, która na mapie Polski zagłębienie sercowe tworzy, ten odcinek Pruski, ta obecna „kolonja" niemiecka, bo poza granicami właściwej Rzeszy leżąca—jest nową Macedonią, nowemi Bałkanami w miniaturze, oczekującemi pomimo traktatu wersalskiego — jakiegoś rozsądnego rozwiązania.

Trzy tam narody mieszkają, trzy rasy, a jeszcze ściślej rzecz traktując—cztery odłamy trzech ras różnych.

A więc — w zachodnich powiatach Polacy pomieszani z Niemcami, — w powiecie Sztumskim pół na pół, w powiecie Kwidzyńskim Polacy w mniejszości. Północ tego kraju — sam brzeg morski jest pruski—mieszanina krwi prasłowiańskiej, pralitewskiej i krzyżackiej, na południu pas szeroki Mazurów, szczep polski, a tak dziś doszczętnie sprusaczony, że tchu mu brakło by powiedzieć: Polakiem chcę być. Ogłupiony przez szkołę pruską, mówiąc po polsku—za Prusaka się gbur uważa, bo Polski nie zna zupełnie. Wie o niej tyle tylko, co pruski nauczyciel ludowy i ksiądz mu powiedział, więc jest pewny, że Polak każdy co dzień się upija, śpi na barłogu z trzodą, wszy go jedzą za życia, jest analfabetą, z żydem tylko potrafi żyć i handlować, nic nie robi i umiera na delirium. Ponieważ przytem jest katolikiem, więc wódkę zagryza protestantem.

W sercu tego kraju mieszka ludność polsko-katolicka—warmiacy. Na wschodzie—litwini.

Ale o tem trzeba wiedzieć. Bo gdy się kraju tego przebiega miasta i osady, wsie i zakamarki wrażenie się ma, że czyste tu Niemcy, tak polakierowano cały kraj ten na biało — czarno, tyle tu fałszywego gotyku, tyle portretów Wilhelma II do dziś dnia, tyle pomników „wdzięcznego" kraju dla pikelhauby, tyle buty pruskiej pomimo traktatu wersalskiego, tyle nienawiści do wszystkiego, co nie pruskie, jak gdyby wcale wojny nie było.

A w tym kraju przecież leży Grunwald i w tym kraju Kopernik niebo obserwował.

Jesienne słońce złoci najwcześniej pożółkłe liście lip nieskończonym sznurem podwójnym okalających znakomite szosy, co przecinają białą wstęgą olbrzymie bukowe lasy, do pruskich grafów należące. Uśmiech słońca kłóci się z ponuremi, smutnemi twarzami ludności, wymęczonej wojną, kartkami, okropnym chlebem i bajecznemi podatkami. Złoto liści melancholijnie przypomina to złoto, którego w Prusiech dziś niema, a latifundja pruskich magnatów zadają kłam hasłom radykalnym, jakie wystawiono w Niemczech na strach Europie, i zarazie bolszewickiej, jaką wszczepili Rosji Niemcy przez swą awangardę wysyłaną w zaplombowanych wagonach.

Ludność ugina się pod ciężarem podatków, o jakich nie śniło się polskim ministrom skarbu, zbyt dla płatników względnym. Całe pokolenie skazane tu jest na spłacanie grzechów zachłanności tych, co wojnę wywołali. Ale Niemiec jest cierpliwy, pracowity i oszczędny, jest idealnym ludzkim wołem i zniesie wszystko. Pracę też widać tu wszędzie, jak u nas nie widać jej nigdzie.

Tak więc w kraju tym odbył się plebiscyt.

To znaczy, że Niemcy przywieźli z końca świata 165 tysięcy ludzi, którzy rzekomo urodzili się byli na tem terytorjum i ci głosowali że kraj ma być pruskim, poczem sobie pojechali. To znaczy, że Niemcy zbojkotowali wszystkich kupców polskich, by wiedzieli, że mają być prusakami, bo inaczej ich zrujnują. To znaczy, że Niemcy wypowiedzieli Polakom wszystkie hipoteki, by ich się pozbyć z kraju. To znaczy, że Niemcy zamknęli w samym Olsztyńskim powiecie 18 ochronek polskich, by steroryzować biedne matki, które pracując ciężko nie mogą dziećmi się zająć i muszą je do ochron posyłać: jak nie będzie polskich — poślą je do niemieckich.

Taki był plebiscyt, takie są jego konsekwencje.



T. Axentowicz. Dziewczyna ze świecą.

(Tow. Z. S. P. — III wystawa retrospektywna).



M. G. Wywiórski. Krajobraz jesienny.

(Tow. Z. S. P. — III wystawa retrospektywna).



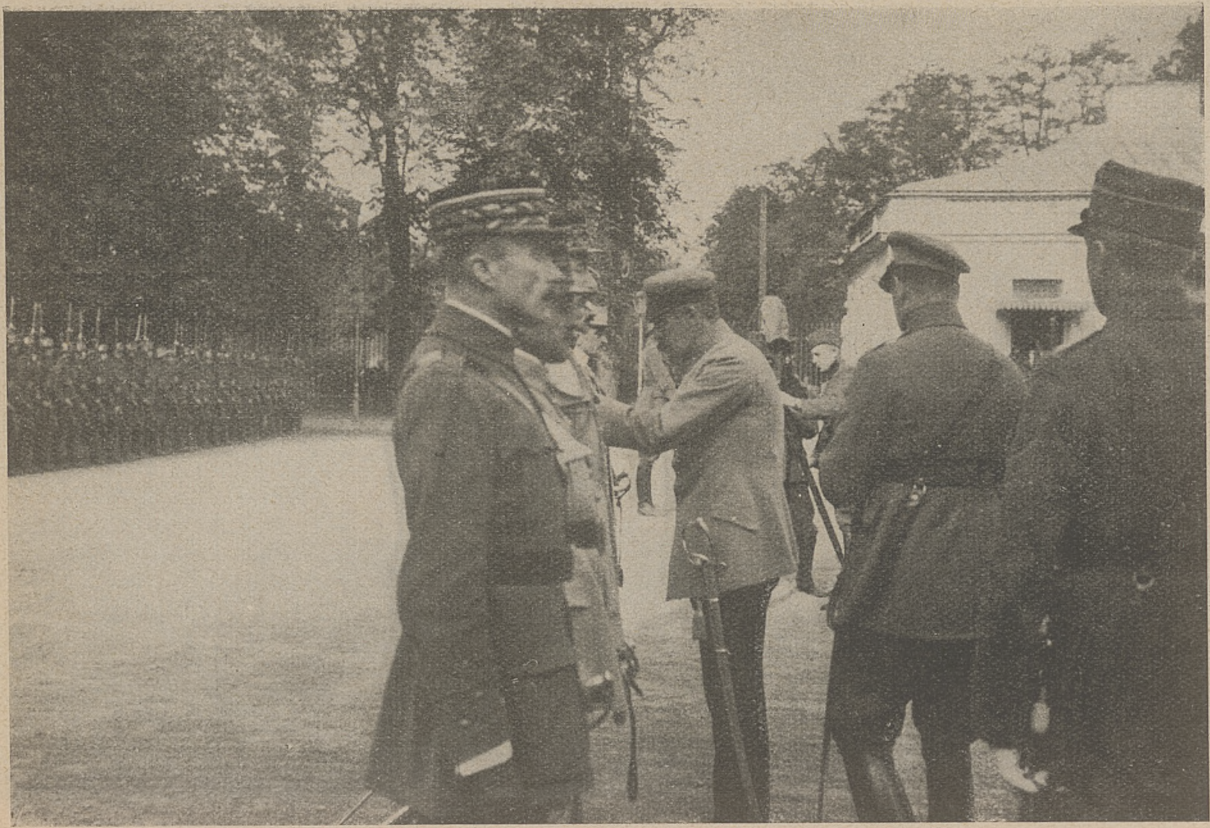
M. G. Wywiórski. Psiarek.



Podpisanie warunków rozejmu i preliminarjów pokojowych w Rydze.



Ogólny widok sali posiedzeń w Rydze w dniu podpisania rozejmu i preliminarjów pokojowych.
(Warsz. Ag. Fot.).



Wódz Naczelny nagradza generała Henrysa i oficerów francuskich orderem Virtuti Militari. *(Warsz. Ag. Fot.).*



Nie spisać na wołowej skórze tych fałszów, oszczerstw, napaści, podstępów, kłamstw, jakich się dopuścili Niemcy podczas plebiscytu.

Uzyskaliśmy 50 metrów ziemi wzdłuż prawego brzegu Wisły, albo mało co więcej.

Przeszło już trzy miesiące od tej daty, ale namiętności jeszcze się nie uległy. Myślę, że nie ostygną one nigdy, bo przyjdą nowe procesy dziejowe, te, które przyjść muszą. Prusy Wschodnie pozostaną odosobnione nie tylko geograficznie ale i moralnie, bo Niemcy właściwe muszą w konsekwencji wielkich przeżyć, przeobrazić się i powrócić do dawnych ideałów z przed Goethego i Szyllera, a wówczas poznają, że Prusy jedynie były ich zgubą. Przyjść musi inny proces dziejowy — odrodzenie się Mazurów, bo oświata zrobi swoje, powstanie tam z chłopów rodzima inteligencja, która mówiąc po polsku musi szukać w Polsce oparcia kulturalnego. Nawet ten odłam Litwinów, jaki na wschodniem pobrzeżu tego kraju się utrzymał, znajdzie dziś oparcie w Litwie niepodległej. Proces samostanowienia narodów zaczął się, ale nie skończył. Przyjdzie czas — może już w następnem pokoleniu, że Mazury i Warmja, że powiaty nadwiślańskich Prus wytworzą z siebie taką świadomość swojej indywidualności polskiej, jak to się stało na Śląsku, a wówczas nie pomogę figle plebiscytowe. Tymczasem jednak Polakom uświadomionym, tam osiadłym, przypada rola ciężka ale i zaszczytna — rola pionierów ruchu wyzwoleńczego.

Cała ta praca spada niepodzielnie na ich barki. Praca utrzymania polskości i rozszerzenia jej, i pogłębienia jej i uwypuklenia. Nie mają oni w tym mozole liczyć na pomoc zewnętrzną, bo Polska jako państwo jest zgodnie z tradycjami swemi sąsiadem lojalnym i jak będzie wymagała od Niemców polskich lojalności, tak będzie doradzała Polakom, zamieszkałym jeszcze w granicach Niemiec zwykłą lojalność państwową pod tym jedynie warunkiem, że Prusy nie będą traktowały Polaków inaczej, niż Niemców i że nie będą stosowały do nich praw wyjątkowych. Chcą Niemcy mieć w Polsce szkoły niemieckie, muszą pozwolić Polakom swoim nie tylko na ochronki, ale i na szkoły, i na gimnazja.

Tak więc Polska już niepodległa nie jest jeszcze całkowicie zjednoczona. Bo jeżeli nawet szczęśliwie zakończy się sprawa Śląska Górnego, to jednak na dwóch krańcach Polski, na Śląsku Cieszyńskim i na Pomorzu Pruskiem pozostały spore odłamy Polaków poza granicami Rzeczypospolitej, pomimo to, że bezpośrednio do niej dotykają.

Wyroki historji nie są rychliwe, ale sprawiedliwe.

To też pomimo klęski plebiscytowej na Pruskiem Pomorzu — patrzymy jasno w jego przyszłość.

Poezje.

Ogień i wojna.

Z cyklu: ŻYWIOŁY.

Ty i ja—wraz idziemy przez świat jasną falą
Roznìecać krwawe znicze z głębi naszych łon.
Niesyte nasze oczy żarem żądz się palą,
Kochamy szał płomieni i zatraty zgon.

Odblaskiem łun znaczona zwycięstw naszych droga,
Kurzawą złotych świateł błyszczy sztandar nasz,
A tam, gdzie już spiżowa nasza stanie noga,
Śmierci nieubłaganej wychyla się twarz.

Huraganem lecimy przez świata rubieże,
Na skrzydłach niosąc iskry i zamieci miał,
Z niepowstrzymanym wichrem jest nasze przymierze,
Bratem naszym jest ślepy, rozuzdany szał.

Przez jedno morze płynie nasz żagiel rozpięty,
Jeden wiedzie nas w przyszłość nieodmienny szlak,
Ty i ja—wraz idziemy w zaguby odmęty,
Na czole niosąc zbrodni purpurowy znak.

Ogarniemy krąg ziemi w płomieniach i dymie,
Choćby nawet do walki stanął z bratem brat,
Przed nami jeszcze dzieło potworne, olbrzymie!
Próbujmy! Może kiedyś spłonie cały świat!

KAZIMIERZ BUKOWSKI.

Na Kaszubach.

Na morze!—z piersi wyrwało się nagle,
Był mrok i gwiazdy wisiały nad nami.
Nas dwoje w łodzi. W rozwinięte żagle
wicher uderzył, w nas fala — bryzgami.

Chyżo nas fala spieniona poniosła,
i kaszubskiego żółty pas pobrzeża
nikł, wsiąkał w oddal. Przytroczone wiosła
do burtów łodzi—pluskają. Tam—wieża

na Heli stoi, jak widmo nadbrzeżne.
Hej, cała Polska w nas żyje zamknięta.
Czujni, choć fale szeleszczą nam śnieżne,
choć nas marzenie w słodkie sidła pęta.

Już gasną gwiazdy. Dłoń moja w twej dłoni,
Piersi nam jedno uczucie przeszywa.
Srebrna rybitwa za falami goni
i czasem skrzydłem horyzont zakrywa.

Cisza. Świt idzie. Rozwarło ramiona
morze. I myśmy powstali z dna łodzi.
— Patrz! słońce, słońce!—Tęsknota w nas kona,
bo nam mówiono, że słońce nie wschodzi.

EDWARD KOZIKOWSKI,

Aeroplan

Wstał dzień słoneczny — jasny — roześmiany,
wstał i promienie rozrzucił pieściwe,
osypał złotem bujną zbożem niwę,
wierzchołki lasów — sady — domostw ściany,

potem potrząsnął wiatru zwiewną grzywę
i hen go pognał za szumiące łany...
a w ślad się ptasząt porwał rozigrany
tłum barwny — wiodąc gawędy swarliwe,

nagle przycichły... bo oto w lazury
wzbił się ptak inny — cały srebrnopióry
i lekko — chyżo — szybował w przestworze...

błysnął skrzydłami — i zatoczył koło,
potem się zniżył — zawarczał wesoło
i zniknął w słońcu... Czy powróci?... Może...

TERESA ŁUBIEŃSKA.

Piosenka żołnierska.

W rycerskiej swojej doli
wszystkiego ty się zbądź
co cieszy i co boli,
żołnierzem tylko bądź.

Z uśmiechem idź na twarzy
w najkrwawszy nawet bój,
u granic swoich straży
jak skała mocno stój.

I tylko jedno imię
Ojczyzny w piersi miej,
w armatnich strzałów dymie
ze śmierci ty się śmiej.

Znaj jedno tylko prawo,
i jeden tylko ślub:
swój mundur okryć sławą,
zwycięstwo, albo grób.

Karabin z ładownicą
w posagu bracie masz —
ze śmiercią czarownicą
już sobie radę dasz.

Gdyś taki pan bogaty,
przed siebie prosto idź —
maszeruj poprzez światy,
gdy wroga trzeba bić.

A spotkasz serce młode
i ust dziewczęcych kwiat,
zabieraj je w nagrodę,
żeś taki wojak chwat.

Lecz nie baw przy nich długo,
choć kochać szczerze chcesz,
Ojczyzny jesteś sługą,
na jej wołanie spiesz.

Bo dziewcząt jest bez liku,
Ojczyzna jedna — wiedz —
tej jednej, żołnierzyku,
kochanki musisz strzedz.

A gdy ci w serce wpadnie
z morderczych jedna kul,
pogrzebią ciebie ładnie
wśród cichych łąk i pól.

Mogiła twoja będzie
dla wieków przyszłych znak —
kwiat polny ją oprzędzie,
odwiedzi leśny ptak.

I szumieć będą liście:
tu prawy Polski syn
śpi cicho, wiekuiście,
a imię jego — CZYN.

JAN SOKOLICZ-WROCZYŃSKI.

Astry

Przekwitły białych lilji cudne alabastry
I róż szkarłatne usta zcałowało słońce.
Gdzież w moich ulach miodu uzbierane plastry
I czemu nie wracają pszczoły — złote gońce?...

W ogrodach opuszczonych, jak smutne dni starca,
Przepychem barw doboru nie lśnią już kobierce.
Wiatr po nich się przechadza—bezkresu pomiarca—
I ostatni liść z drzewa strąca, niby serce...

Gdzież z kwiecia dzisiaj nektar składać w miodnych
[plastrach,
Gdy wśród pól smutnych niema zbóż żywego złota?...
Pozostały gdzieś astry w ogrodzie, lecz w astrach
Ubogich szukać miodu — daremna robota...

Wróciły moje pszczoły do pustego ula,
Nad którym bladem widmem zawisła zagłada.
O pszczoły moje złote! Jakiż kwiat roztula
Kielich miodny — zimnemu słońcu listopada?

Pszczoły! Gdzie wasz rój złoty zniknął—hen—z raba-
Gdzież tułał się wygnaniec z ula skromnej chaty, [tów,
Gdy zapraszały wiśnie w welonach swych kwiatów
I alei lipowych miodne aromaty?...

O pszczoły moje złote! Marnotrawne córki!
Straciłyście daremnie dzień waszego lata
I dziś wracacie głodne do pustej komórki,
Gdzie z każdej szpary woła w głos — samozatrata!

Bowiem tylko o wiośnie napełnia się plastry
I skrzętnie skarb wzbogaca nim się mróz pojawi —
I biąda owej pszczole, co licząc na astry
Dzień wiosny swojej prześni, lub przemarnotrawi!

HENRYK ZOBÓR.

Mieczysław Jarosławski.

MAJOR PRUSKI.

I.

Kołysze się na horyzoncie żagiel, szary trójkątny żagiel. Fala przelewa się leniwie, brzeg piasczysty ślini.

— Niczego nie dokonacie. Świat jest dla nas, Niemców. Zgniecie was nasza tężyzna. Myślicie, żeśmy pokonani, żeśmy rozbrojeni. Nie lubię symulacji. Obrzydł mi nasz rząd. Czas mówić wyraźnie, jak nas stać.

— Może więc dlatego pan się podał do dymisji, majorze?

— Dymisja nie polega jeszcze na noszeniu tużurka. Tu—serce żołnierza pruskiego. A dla waszego narodu—żmija. Francja nie wydarła nam żądła. Pan rozumiesz? Bo nie pozwoliła Anglja—musi na kontynencie mieć kogoś ktoby szachował jej sojuszniczkę. A wy się łudzicie, żeśmy zginęli, że sojusznicy działają w przykładnej zgodzie.

W żółty piasek wybrzeża wcięły się ciężkie zesztywniałe od gwoździ kamasze. Wzrok strzelił zpod krzaczastych brwi.

— *Saesonstaat!*

Tafla morska lśni na widnokręgu. Mętne, sine rozwłóczą się chmury. Żagiel kołysze się dalej, a fala piasczysty brzeg ślini, ślini.

— No i cóż dalej, panie majorze?

— Widzisz pan, doktorze, ten most? To konstrukcja żelazno-betonowa. Żadna go fala nie zmoże, żadna nie przeźre go rdza—to Niemcy.

— A wasz komunizm?

Aż piasek żółty strzyknął zpod twardych bucisków. Żagiel przykryło wyrzucone kilkakrotnie czarne ramię. Wyrazista linja czarnej sylwety odskakuje w tył i nagle wyolbrzymiając się zakrywa cały prawie horyzont. Żarem syczące, gardłowe wysypują się dźwięki.

— *Exportwaare!* Trucizna dla was! Dla wszystkich trucizna. U nas wyrabiana, a u was spożywana. Pan znasz laboratorja chemji politycznej w Niemczech? Gmachy-kolosy i w nich tysiące, miljony mózgów. Duma i moc narodu. Konspiracja, instynkt samozachowawczy i krew komturów średniowiecza stworzyły machiny. Sam głos ich pracy przeraża. *Deutsches patent!*

— W orbicie tych prądów mogą stracić jednak równowagę wykonawcy...

— A Bismark?!

— Umarł...

Pięść sklerotyka uderzyła w piersi. Echo poleciało po śliniącej brzeg fali i roztargało się w mącie i spadło na dno. Potwornie powykrzywiane zwisają chmurzyska.

— Tu żyje!

— Razem z... pańską żmiją?

— Tysiaca głów żaden miecz nie odetnie. A on temi tysiącami w nas żyje.

— Anachronizm tak jak pan, majorze. W waszej laboratoryjnej pracy oślepliście. Dziś nie umiecie patrzeć. Widzi pan słońce?

— Nad niemieckiem morzem — niemieckie słońce!

— Błąd logiczny i rasowy. Zarówno Bóg jak i słońce istnieją bezprzymiotowo. Pozatem wasz egoizm rasowy usiłuje nadać im cechy subjektywne.

— Pan widział Bismarka?

— Widzę go dziś w muzeum jako zabytek, dowód waszej ślepoty.

— A tam w Hamburgu—króla morza północnego?

— Tam widziałem dawno już kiedyś skamieniałą bryłę niemocy, nieruchomości. Wy się suggestjonujecie wyobraźnią o przeszłości. A przeszłość nasza minęła bezpowrotnie. Dopóki ta bryła waszej bałwochwalczości tam stać będzie, dopóty nie zdolni będziecie do życia. I śniedź pokryje waszą tradycję, jak mgła północy pokrywała oczy tego kolosa pychy waszej w Hamburgu, że nie widział jak mu odbierano Helgoland. Świat jest dla wyzwolonych, nie dla tych, którzy sami nosząc kajdany, chcą nakładać je innym.

— Niedorzeczność! Mowa błędnego rycerza, który od kolebki już pędzi dokądś, zapominając o swem domu. Wszystkim chcecie radzić, pomagać, uczyć, a co umiecie sami?! Pożera was ten romantyzm średniowiecza, który nie chce się godzić z twardą przyziemną rzeczywistością. Warstwa pochłonie warstwę, bo nie umiecie zlikwidować swych pańskich tradycji. Bronicie się przed socjalizmem, więc on was epidemicznie zniszczy. Obudziliście się po to, aby się przekonać, żeście nie zdatni do życia.

— Pan, majorze, mówisz o socjaliźmie, pan radzisz socjalizować kraj? A Niemcy? A junkrzy pruscy? A wasz imperjalizm?!

— Wszystko, doktorze, na miejscu i wszystko was przetrwa, bośmy dali sobie wczas *lege artis* zaszczepić socjalizm. Nas socjalizm nie może już obalić, natomiast możemy nim dowolnie eksperymentować chociażby na was. Jest to broń w naszem ręku, gdy zaś wy nic nie robicie, aby skorzystać z tak doświadczonego sąsiada jak Niemcy i wiecznie bronicie się przed naszą opieką jak przed plagą.

— Słyszałem to już nie raz. Nie nowe. A dodać należy, że sąsiad nasz mało wzbudza w nas zaufania. Tembardziej, jeżeli w swoich politycznych laboratorjach przygotowuje komunizm na eksport. Łatwo się więc zdarzyć może, że miast zbawczego preparatu socjalistycznego podacie nam, łatwowiernym, truciznę komunistyczną. My was już znamy, poznajcie więc wreszcie i wy siebie... A wtedy...

Piasek żółty wypryskiwał ostro zpod twardych bucisków. Czarna sylweta prześcignęła żagiel. Zdala, zprzeciwka leciały zalesione wzgórza, poszarpane łagodnie wybrzeża.

Dziko błyskały szare źrenice.

Ktoś uciekał od czegoś...

Czy ktoś coś dopędzał...

Zaśmiały się żółtą barwą chmury. Od zachodniej strony wyprysnął filuterny złoty błysk...

Mrużą się oczy.

Perły tęczowe rozsypały sią na fali, tuż na żółtym brzegu. Gonią się wzajem niby żywe.

Dłoń sklerotyka żółtą plamą upadła na horyzont.

— Stój!

Z brunatnej zieleni wychyla się postać. Żołnierz. Karabin przewieszony przez ramię dziobie tępym końcem jakiś najniższy kłak rdzawej chmury. Trójkąt wybrzeża, koronki wodnej, fali błyskotliwej i horyzontu okraczyły elastyczne nogi.

W ramie tej widać Polskę.

— Przepustki?

Pień czarny graniczny ugrzązł na żółtym brzegu naprzeciwko widnokręgu i chwieje się próchnem, co w piasku szuka sobie korzeni.

Poprzez trójkąt pątrzą zdumione, siwe oczy i własne widzą brwi krzaczaste...

— O, widzisz pan, majorze, Polskę? Oto objął ją tym trójkątem żołnierz, symbol polskiej mocy. Odsuń się dalej, a zobaczysz większy trójkąt, będziesz miał perspektywę... A kiedy zechcesz podejść bliżej, musisz uwierzyć w istnienie tej perspektywy. Tylko wiara w Polskę odmienić cię może i pozwoli ci korzystać z gościnności tej ziemi...

— *Deutschland, Deutschland ueber alles!...*

Głos spadł głuchy, niemy i utonął w wilgoci brzegu. Zaszurgotało czarno-białe próchno wstrząsem niemocy i zerwały się naraz gdzieś zwietrzałe w piasku korzenie i pień począł rozsypywać się na mokre obwilgłe szmaty, stracił horyzont i tarzał się obumarłą masą na brzegu. Bagnet szpicem przeciął fale i utkwił lekceważąco w szarem niebie.

— Nie poprzez niego jednak. Widzisz pan, majorze. Wasz Bismark we mgłach tonie, żmija wasza umie już tylko syczeć. A on stoi życia konturem i ukazuje ci Polskę i zamyka tem

oto ostrzem przejście po niej dla twych niedołężnych bucisków.

Miotnęły się jeszcze skry już popieliste już beztreściwe i niedalekonośne.

— Poraz pierwszy ujrzałeś pan Polskę?

— I po raz ostatni przed jej skonaniem!

Wiatr dmuchnął raz i drugi, zmiótł grzywy po bałwanach i obalił do reszty pień próchniaty. Szczątki z zawrotną szybkością leciały w przeciwległą stronę. Rozwierała się przestrzeń morza. Witał ją pogodny uśmiech żołnierza.

— Czego on się boi?

— Uląkł się błysku własnej świadomości w chwili, kiedy myślał, w złudnej pysze, że się z popiołów odradza jak wieczny feniks, a rzeczywistość przemówiła doń dotkliwem pchnięciem obcego bagnetu w to miejsce kędy zwykłą u człowieka rezydować równowaga.

Fala wezwała miarowym pluskiem do porządku dziennego. Słońce obsunęło się pod horyzont, a płachty nocy całunem odpoczynku pokrywały dzień rodnej ziemi.

Kończyła się tragedja śmierci dla jednych i narodzin dla drugich.

Ostry kontur bagnetu ponad szarą plamą wtapiał się w cichą moc nocy i osłonięty nią sterczał niby rafa podwodna groźna dla nieostrożnych śmiałków zbłąkanych u pobrzeża oceanu.

II.

— Tylko w naszej służbie możecie osiągnąć, majorze, wasze cele.

— Od wieku pracujemy wspólnie z Rosją.

Rechot służalczy niby groch rozsypał się po tapecie i siadł na konsoli, bawiąc się dźwięcznym bronzem.

— Porzućmy Rosję i jej przeszłość. Nikomu o nią nie chodzi. Dźwięczącą monetą chwili jest bolszewizm. Fabrykacja jego da wam kredyt.

— Na eksport fabrykujemy wszystko, panie komisarzu. Na to obliczona nasza dynamika narodowa. Kto jednak chce od nas towar otrzymywać, musi godzić się na nasze warunki.

— Warunki są nasze, majorze, nie czas je dzisiaj nam dyktować.

Przez rozwarte okno ćma wpadła z ogrodu i monotonnie, uporczywie tłukła się o lampę.

— Możemy się porozumiewać...

— Porozumiewać się mogą tylko równi. Dziś my jesteśmy w posiadaniu wszystkich pozorów władzy. Nie potrzebujecie jej uznawać, lecz musicie o nią oprzeć wasze cele.

— Władza wasza pochodzi z rąk kajzera. Cokolwiek stanowicie, musicie z nami się liczyć.

Opalona ćma upadła na biurko. Zaszurgotał papier—szybko pełzła już tylko larwa. Przez czarną plamę okna wpadały nowe owady.

— Z płazu rodzi się płaz. Kiedy urósł, nie potrzebuje już opieki. Wrogiem mu własna matka, jeżeli chce go uczyć posłuszeństwa. Możemy was połknąć.

Nieśmiały rechot uderzył w tapetowane ściany, wypadł przez okno a ślepy na mrok nocy spadł w najbliższe krzaki.

— I udławić się bagnetem niemieckim.

— Jeżeli się udławi miljon i drugi, to dla trzeciego i czwartego was nie starczy. Wiecie, majorze, jak wielką jest Rosja?

— Kolos na glinianych nogach.

— O, nie! Gliniane nogi rozwalone, a kolos twardo rozparł się na ziemi i w tem jego moc. Sterczy on imponująco i jest nie do pokonania, a u nóg jego tysiącznemi drogami snuje się służalczość. Was uważamy za knechtów. W waszem kraju od wieków istnieje wypożyczalnia jurgieltników.

Gwałtowny szurgot odsuwanego fotela chciał starczyć za odpowiedź. Postać majora wyrosła ponad biurkiem, cień wyprężył się na ścianie i załamał pod sufitem. W blasku lampy pozostającę zęby błysnęły żółtością. Oczy okryte cieniem mrugały małpim migotem.

— Robimy interes?

Dym świeżo zapalonego cygara wzbił się kłębem ku sufitowi, wygiął się w długą smugę i wypływał ciężko obojętnie przez okno kędy zakwilił zbudzony ptak.

Lecą sekundy trwożliwe, za niemi idą spokojniejsze minuty... Któraś z nich usłyszała ciężkie skrzypnięcie fotela.

— Interes da się zrobić. Ale...

— Niema ale.

— Ale... musimy mieć gwarancję, że...

— Za nic nie gwarantujemy. Zadatek dajemy złotem. Resztę sami weźmiecie po upadku Polski. Wasza w tem głowa. Za pracę dla nas i na nas dajemy wam możność bytu i nasyt zemsty.

Lecą minuty. Wzrok majora badawczo ślizga się po twarzy komisarza, a przechwytywany pośpiesznie zeskakuje na sprzęty.

Pod sufitem czołgają się obłoki cygarowego

dymu. Opalizują w niem ćmy. Jedne spadają na biurko, gdzie leży już wiele ich trupów, inne jeszcze probują szczęścia, wpadając z ciemnej plamy okiennej do wnętrza.

— Kiedy mam się stawić?

— Najdalej za trzy dni.

Brzęknęło złoto, potoczyły się ruble po czerwonem suknie i unurzały się w pyle owadowych skrzydeł. Sklerotyczna dłoń majora zbierała je drganiem.

Honor został sprzedany i kupiony.

— Od dziś jestem pańskim bezpośrednim zwierzchnikiem. Wymagam posłuszeństwa bezwzględnego. Zrozumiano?

— Tak jest, zrozumiano.

— Kiedy rozmawiam z podwładnym wymagam, żeby stał...

Kości zgrzytnęły w stawach. Ciężko oderwała się czarna postać od fotela i twarz, unikając oświetlenia, zniknęła w cieniu.

— Od dziś jesteście, majorze, komunistą; junkier pruski, to nazwa tylko dla waszej najbliższej rodziny. Zrozumiano?

— Wedle rozkazu!

— Za niestawienie się kula w łeb. Wasz dokument?

Z dłoni sklerotyka do zgrabnej wyhodowanej ręki komisarza przeszły papiery z pieczęcią majestatu Wilhelma drugiego.

Cygaro zgasło. Osypał się popiół.

— Ognia!

Szarpnął się cień czarny na suficie, pochylił. Po chwili przesłoniła go smuga białego dymu.

Na dywanie zaszeleściły rytmiczne kroki, szczęknęła klamka i trzasnęły drzwi.

Rój cieni większych i mniejszych uwija się wkoło lampy w opętańczym tanie. Chłód ciągnie wilgotny przez czarną wnękę okna. Żółty blask lampy martwo kładzie się na sprzęty i szuka w wyrazie twarzy pruskiego majora czegoś żywego.

Ale trupio nieruchome pozostają lica, z których szare w przestrzeń nieznaną patrzą oczy.

Z czerwonej ramki wyziera sztywny staroświecki sztych zastygłej w zawziętości twarzy Bismarka.

Zakołysał się wolno cień na ścianie. Miarowo uderzyły twarde obcasy o dywan. Szare źrenice wpiły się w martwą twarz sztychu.

— *Der Drang nach Osten ueberwindet alles. Sein Befehl ist mir nur ein kleiner Theil des deiniges, o Kanzler!*

W ciszy niby manekin milczący stoi przed sztychem postać majora pruskiego i tylko ćmy brzęczą wkoło lampy i padają martwo na biurko, świadcząc przykładem, że co raz straciło skrzydła, wzlatać już nie może.

(dok. nast.)

NA CZASIE

Camera lucida.

Młody Parnas warszawskiej rasy aryjskiej wystąpił z żydowskiego domus publica i osiedlił się na własnej Świętej Górze. Dał nowej siedzibie dobre staropolskie nazwisko: „Gospoda Poetów”. Crescant et floreant!

St. Pieńkowski, krytyk-chirurg, nie wierzący w maści i okłady, lecz ufny tylko w operacyjne cięcia, co zresztą wykonywa mistrzowsko, pewną dłonią, powiada, że fetor judaicus nie tak łatwo opuści zbuntowany aryjski proletarjat. Rzeczywiście jest to zapach wnikliwy, uparty jak od zastarzałych substancji. Ale wszystko da się wywietrzyć na ciągu powietrza, w plein-airze. Jeżeli „Gospodzie Poetów” o plein-air chodzi, dobre Muzy zjawią się tam jako gospodynie.

Szczerość! słowo magiczne poezji, źródło jej wiecznej młodości i władzy królewskiej. Błogosławiony monopol. I jakie pocieszne qui pro quo. Całe życie polityczno-społeczne musi iść drogą norm przeciętnych, kompromisowych, więc drogą sztuczną, a to co nazywamy sztuką, to jest bezpośredni wyłom estetyzmu, jest szczerością, naturą. Jakie przeto życie współczesne jest zafałszowane nawet w wyrazach! Jakież w takich warunkach słowo może stać się ciałem? A przecież na wcieleniach polega historja kulturalnego człowieka. Zapytajcie, o dzieci Światowida, starych Wed, czy to nie prawda? Jeszcze lepiej zapytajcie samych siebie, to prostsze.

Bądźcie szczerzy, młodzi przyjaciele, bo w tem wasz tytanizm. Jeżeli który z was posiada rzeczywiście zaczyn twórczości, talent, wkrótce stanie się mistrzem. Dla kogo poezja nie jest chceniem, lecz zachcianką, wkrótce sam przesiedli się do ubikacji dla siebie odpowiedniejszej np. do propagandy p. Anusza. Tam zwolnią go z dławiącego go ciężaru, z osobowości. Pozbawią go własnych nóg, będzie jeździł automobilem.

Wiem, że na początek trudno wam będzie dorównać starym mistrzom, starym wygom kompozycji. Mogę być świadkiem kręgów z wzburzonej piany, po za którą nie dojrzę głębi morza. Ale czuję jedno. Poezja polska woła o odnowę. Jaką, to już wasza rzecz.

Nie mam powodów do niewiary, że temu nie podołacie.

Należycie do pokolenia najbardziej okłamanego z tych, jakie w Polsce kiedykolwiek żyły. Jesteście ostatniem pokoleniem, urodzonem i wychowanem w piwnicy niewoli, z rodziców dekadentów, którzy się waszem jestestwem nie zajmowali. Wikt i opierunek, pozatem często zły przykład. Znaleźliście się pomiędzy rodzimą filozofją gnuśności, zwaną eufemicznie patrjotyzmem, a szkołą propagandy talmudycznej, zwaną eufemicznie socjalizmem, jeżeli chodzi o eksport dla niewolnika—arji. Tam poszła Młoda Polska w poszukiwaniu plein-airu i znalazła jego surogat w postaci rozpasania w brudnej karczmie, zwanej eufemicznie kabaretem.

Był czas, kiedy sam byłem w tej szkole talmudycznej. Gdy powonienie odtrąciło mnie, postrzegłem ku zdumieniu, a zauważcie to, proszę, że od czasu, gdy stamtąd wyszedłem, moje słowo pisane nabrało wewnętrznej wartości, postrzegłem, że wszystko przedtem przezemnie napisane miało plamy gnilne, jakie bywają na zielonych a już więdnących liściach.

Ludzi starszego pokolenia, jeżeli zachowali odwagę szczerości, mogło było stać jedynie na formę sztuki, zwaną karykaturą. Rzeczywistość jest dotąd karykaturalna; twórczość prawa nie ma do rozporządzenia innej rzeczywistej siły. Jeżeli naginano sztukę do propagandy lub do pokrzepienia serc, historja pierwszych dwóch lat rzekomej wolności dowiodła, że było to płonne. Mózgi propagowały same sobie co innego, a serca pokrzepiały się na inny sposób. Jedynem zwierciadłem, w którem ludzie przeglądać się mogli i poznawać twarze własne, była karykatura.

Ale rozumiem, że duchom młodym nie może wystarczyć negacja karykatury. Naturalnie dążą do stwierdzeń, bo młodość jest czynem, stwierdzeniem, lecz nie zaprzeczeniem. Zupełnie naturalny jest jej bunt przeciwko wynaturzeniom epok minionych, chociaż przy rozpędach zdarza się, że wraz z staremi garnkami tłucze się urny pompejańskie.

Cytuję fragment z buntu Radosława Krajewskiego:

„O laureaci naturalistycznych poem,
o romantycy, coście w głupiej dziewce
utopili wszystkie światy, o nędzy swej piewce,
Bonmotów, paradoksów dygnitarze,
sentymentaliści, opiewający bzy i Lunę...
Na zbity pysk, dziady, pachciarze,
psiakrew.,. bo lunę...”

Doskonale, na odlew, po rabelesdowsko-mazursku. To drapie jak zgrzebna koszula, ale wyprana, nie cuchnie. Nie wiem czy naokół istnieją ludzie klasyczni, kastalscy, którzy mieliby prawo się zżymać. W epoce, gdy złodziejom mówi się „szanowny panie”, trzeba przestać być szanownym.

Co do mnie, to pozwalam sobie dać wam carte blanche. Na śniadanie połknijcie Orota, na obiad przekąście Sienkiewiczem lub Żeromskim, na wieczerzę spożywajcie chociażby księgi pielgrzymstwa Mickiewicza. Punkt natarcia się znajdzie. Aby szczerze i na nogach własnych... bez szczudeł.

I. Gr.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Rozmaitości: „Południca" Leopolda Staffa.

Gdyby „Południca" nie była przesiąknięta nawskroś liryzmem, mogłaby stać się potężnym dramatem. Koronka liryczna tak jednak ozdabia sceny dramatyczne, że tracą one realność wyrazu a, co gorsza, i rozsnuwają się często w obrazy poetyckie miast uderzać ruchem kującego młota rzeczywistości.

Tragedja leży tu w tym psychologicznym fakcie, że chłopska miłość ziemi jako uczucie nadwyraz piękne i zdrowe przy maximum swego napięcia staje się bezpośrednią przyczyną grzechu, dla którego według tejże psychologji musi istnieć odpowiedni wymiar kary. Właściwie więc nie Południca czy też legenda o niej jest osnową akcji dramatycznej, lecz grzech śmiertelny zrodzony przez najpiękniejsze uczucie. To też autor, przez tytuł kładąc nacisk na legendarność psychologji ludu wiejskiego, nie był wstanie tytułu tego należycie usprawiedliwić inaczej jak tylko przez mimowolne obniżenie wartości tragedji.

Ta dwoistość akcji stała się najsilniejszym klinem szczepiącym spoistość napięcia dramatycznego.

Piękno miłości ziemi szuka dla siebie lirycznego wyrazu pieśni i pochłania w tej pracy twórczej wrodzony talent poety do tego stopnia, że temat zapowiedziany staje się niejako sprawą drugorzędną i nie może już się właściwie powiązać przez akcję z istotą grzechu śmiertelnego.

Akt pierwszy rozpoczęty eposem zmienia się wprawdzie w scenie zjawienia się Antka, syna umierającego grzesznika, w dramat, ale przez osiągnięcie najwyższego napięcia w chwili ojcobójstwa i prawie natychmiastowego rozwiązania w scenie tryumfu Hanki, która posiadła zbrodniczą tajemnicę swego kochanka i w ten sposób związała los jego ze swoim na zawsze—w końcowych scenach daje już tylko perspektywę eposu.

Dramat rozpoczął się i skończył w pierwszym akcie.

Niestety, tego nie spostrzegł Staff, któremu, jako lirykowi, rzecz zrozumiała, chodziło o narysowanie pięknego obrazu Południcy.

Takiego błędu w podobnej sytuacji w „Sędziach" uniknął wielki talent dramatyczny Wyspiańskiego i dla tego „Sędziowie"—są tragedją czystej wody.

I oto wśród mizernych szablonowych dekoracji snuje się postać Południcy tylko dla tego, że poeta nie zdążył w pierwszym akcie istoty jej działania tak wpleść w akcję, żeby nie potrzebowała już wegetować w następnych śród kunsztownego kwiecia liryki poetyckiej.

A przecież była ona już od pierwszej sceny, bo życie jej, zgodnie z prawdą legendy, narodziło się w chwili powstania grzechu śmiertelnego, czyhała ona u łoża rozmiłowanego w zabójczej truciźnie—ziemi—umierającego grzesznika, tu już krążyła w czerwonej chuście, aby nią przykryć ciało swej ofiary.

Ta pobłażliwość autora dla grzechu, to wahanie się z wymiarem sprawiedliwości osłabiły napięcie dramatu, a rozwiązanie jego w końcu aktu trzeciego obniżyło siłę wrażenia widza i naderwało piękną legendarność fabuły. Południca, którą widz oglądał chodzącą przez trzy akty po scenie, przestała być postacią legendy, natomiast uwyraźniła się tylko jako probująca wszelkich sposobów dla osiągnięcia swojej zemsty kochanka mało mająca woli, a jeszcze mniej dramatyczności w sobie.

A jednak pomimo owego braku dramatyczności jakże wysoce artystycznym jest stosunek psychologiczny idei Południcy do wyrazu jej zemsty.

Zbrodnia starego gazdy, który zagarnął sobie ziemię swego sąsiada i utrwalił się w mocy tego posiadania krzywoprzysięstwem, wyolbrzymia się przez krzywdę Jaśka, który „ogłupiał" z tej przyczyny i staje się biernem narzędziem losu szukającego pomsty za grzech śmiertelny. Wpadł on w błędne koło Południcy, czyli wymiaru sprawiedliwości w danym wypadku i choć mu się naiwnie zdaje, że on to właśnie przed Południcą zaciera ślady prowadzące do miejsca zbrodni, to jednak mimowoli przestawianiem kamieni przydrożnych tę drogę wskazuje. Jest to najbardziej tragiczna postać w dramacie, postać zarazem szczęśliwa i nieszczęśliwa przez swoją głupotę, postać naiwna i myśląca jednocześnie głęboko, ślepa zewnętrznie w poczynaniach swoich a kierowana nieprzepartą intuicją, najwidoczniejszy efekt zbrodni krzywoprzysięstwa i straszne, bo bezmyślne narzędzie dla zadośćuczynienia tej zbrodni. Dlatego też Roland, który rolę swoją doskonale zrozumiał, bo koncepcja jej jest ścisłą i jednolitą, grał koncertowo.

Najbliższa partnerka jego, Południca—Mirska, której ustawicznie szuka, mając ją stale na oczach, w zbyt długiej i niezupełnie zwartej roli, nie zdołała w równej mierze we wszystkich scenach zaznaczyć tego temperamentu i tajemniczego błysku demoniczności, jaki uwydatnił się w jej pierwszych i końcowych scenach. Albo Hanka zdawała sobie sprawę, że ona to właśnie jest Południcą i zdemaskowała się odrazu i w tem jest wina Staffa, albo pani Mirska usiłowała sprawiać wrażenie nieświadomości i w tem jest osobista jej duża zasługa. Niestety, uważny widz, uprzedzony niedwuznacznie przez autora, nie mógł mieć co do tego złudzeń. Najtrudniejszą była rola Węgrzyna, nie wiedział on bowiem kogo ma więcej kochać: ziemię ojcową, Hankę czy Jagnę. Ta chwiejność nie wypływała jednak

z niezrozumienia przez artystę roli Antka — przeciwnie, usiłował on talentem swoim nadać jej cechy zdecydowanej prawdziwości—lecz była ona nieuniknionym powodem dwoistości założenia dramatu — nie wiedział jakiej zbrodni jest wyrazicielem: ojca jako krzywoprzysięzcy czy też własnej, jako mściciela-losu, ojcobójcy. Południca zbyt długo oprzędała go pajęczyną zemsty, pozostawiając mu w ten sposób zawiele czasu do rozmyślań, wahań i załamań charakteru. Nie mniej przeto stwierdzić należy, że była to właśnie rola Węgrzyna. Artysta ten bowiem tam gra dobrze, gdzie może myśleć. Najszczęśliwszą może i najwdzięczniejszą rolę miał Bednarczyk, który zeszedł ze sceny wtedy, kiedy dramat osiągnął najwyższe napięcie, pozostawił więc wykonaniem swojem najlepsze wrażenie.

Czystym wyrazem przepięknej liryki Staffa była pani Trapszo-Krywultowa, która na tle dramatu stała się żywem upostaciowaniem jednego z tych tomików, w których Staff na nieskończony sznur marzeń o cudzie niże perły swego talentu.

Mieczysław Jarosławski.

O urodę Warszawy.

Stolica każdego państwa jest z charakteru swego jego reprezentantką wobec obcych, kraj odwiedzających i jest benjaminkiem samego narodu. Obecna Warszawa z tej podwójnej roli wywiązuje się w sposób pedantycznie ścisły. Bruki stolicy przypominają łomżyńskie wertepy leśne, kamienice mało się różnią niechlujstwem od małomiasteczkowych bóżnic, dorożki świadczą, że kraj nie wyszedł jeszcze z 18-go wieku, hałas, czyniony przez szoferów, silących się na zwrócenie uwagi na siebie okropnemi gwizdkami, które miast ostrzegać ogłupiają tylko przechodniów, z przerażenia wpadających pod koła, łudząco przypomina koncertową politykę w naszym Sejmie. Bezład ruchu pieszego i kołowego łudząco reprezentuje naszą administrację; kurz z pod mioteł stróżów symbolizuje mglistość naszych zdolności organizacyjnych, które tworzą urzędy zdrowia po to, by się przyglądały jak na miotłach rozdaje się hojnie publiczności miljardy mikrobów. Tysiące wałęsających się dzieciaków manifestuje zabiegliwość Pracy, Opieki społecznej i Oświecenia Publicznego. Wygląd naszych polismenów znakomicie świadczy o dobrobycie kraju i energji jego mieszkańców. Całość stolicy i jej skazańców bez zarzutu dowodzi, jaką pieczołowitością i ciepłem uczuciem Polska cała składa się na tę perłę brudu, ciemności, ciemnoty, niechlujstwa, smrodu, hałasu, niewygód, ciasnoty, nędzy, nieładu oraz wszelkiego paskudztwa i paskarstwa.

Urocza i rozkoszna Warszawka!

Żyć w niej i nie umierać— to jeden z najtrudniejszych problemów świata.

Orbi.

Kalendarzyk wojenny.

16 października. Na północo-wschód od Wilejki jazda nasza, posuwając się w kierunku Krzywicz, rozbiła 6-tą dywizję sow,

17 października. Na północnem skrzydle oddziały nasze obsadziły Krzywicze i Dołhinów.

18 października. Na północnem skrzydle wojska nasze w dalszym ciągu posuwają się, aby w myśl układu rozejmowego osiągnąć granicę łotewską. W bitwach pod Radaszkowiczami, Ilją, Krzywiczami i Dołhinowem grupa ta dokonała rozbicia trzech dywizji sowieckich. W rejonie Mińska oddziały nasze wycofują się na linję rozejmową. Na Polesiu obsadziliśmy Domaniewicze, Żytkowicze i Piererów.

19 października. Oddziały nasze znajdują się w toku obsadzania linji rozejmowej. Na Wołyniu i Podolu, odrzuciwszy nieprzyjaciela, zajęliśmy Miropol, Lubar, Terespol i Nowokonstantynów.

20 października. Na froncie północnym ostatecznie wycofały się oddziały nasze poza linję rozejmową. Na froncie południowym zajęliśmy miejscowość Miropol i Lubar.

21 października. **Dnia 18 b. m. o g. 24-ej na całym froncie nastąpiło wstrzymanie działań wojennych.** W odcinku południowym nieprzyjaciel do ostatniej chwili zachowywał się aktywnie, dążąc uporczywie do wyparcia nas z zajmowanych terenów. Dzięki brawurowej postawie naszych oddziałów, wszystkie ataki zostały odparte, linja rozejmu przebiega zatem przez Słuck — Grabowo — Kopcewicze — Olewak — Zwiahel — Chmielnik i Deraźnię, które to miejscowości pozostają w naszem ręku. Zdobycz korpusu jazdy z akcji na Korosteń wzrosła do liczby 3400 jeńców, 3 poc. panc., 1 pociągu sanit., 14 dział, 70 kar. masz. i 250 wozów taborowych.

OdSzt. Gen. 21-X. Wobec przerwania działań wojennych na froncie przeciwbolszewickim z dniem 18.X, o g. 24-ej, na zasadzie podpisanego w Rydze rozejmu, zawiesza się dalsze wydawanie komunikatów prasowych sztabu generalnego.

Naczelne Dowództwo W. P.
Sztab Generalny.

Odezwa.

Komitet Zjednoczenia Górnego Ślązką z Rzplitą Polską (Warszawa, Krak.-Przedm. 60) uprasza wszystkich zarejestrowanych na terenie byłego zaboru rosyjskiego Górnoślązaków i Górnoślązaczek, by wrazie zmiany miejsca pobytu (zmiana siedziby, wstąpienie do wojska i t. d.) komunikowali o tem niezwłocznie Komitetowi wraz ze wskazaniem obecnego miejsca zamieszkania, (albo przydziału wojskowego).

Z ZACHĘTY.

„Czarna kawa".

W Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych zebrani licznie przedstawiciele sztuki i literatury oraz jenerałowie Haller i Bylewski po wysłuchaniu referatu p. kustosza Aleksandra Borawskiego o Zamku Wawelskim, ustalili w dyskusji, że trzeba rozwinąć najszerszą działalność w doprowadzeniu do końca restauracji Wawelu

i w udostępnieniu całemu narodowi „Pielgrzymek na Wawel“. Omawiano też sprawę uruchomienia na ten cel funduszów.

W drugiej połowie stycznia odbędzie się w Warszawie 8-io dniowe „Święto Wawelu“ z odczytami, pokazami i wystawą, na co „Zachęta” udzieli prawdopodobnie gościny w swym gmachu. Mają być między innemi wystawione dzieła prof. Noakowskiego i Wyczółkowskiego oraz model „Panteonu Polskiego” prof. Szyszki-Bohusza. Towarzystwo opieki nad zabytkami zamierza zorganizować w „Zachęcie“ dyżury dla objaśniania eksponatów. Teatry wystąpią z widowiskami, które za tło mają Wawel. Redakcje tygodników illustrowanych wydadzą specjalne numery wawelskie. Tak świetnie zorganizowane „Święto Wawelu“ rozpocznie się w Warszawie, a następnie kontynuowane będzie w kraju całym, a być może i w kolonjach polskich zagranicą.

Bieżące wystawy w Zachęcie.

28-go października otwarte zostały w Pałacu Sztuki nast. nowe wystawy: A) Zbiorawa pp. Jana Bohuszewicza, Bronisława Bryknera, Brunona Lechowskiego Włodzimierza Nałęcza (p. n. „Morze Polskie“), Stan. Ignacego Witkiewicza. B) Wystawa bieżąca, złożona z prac S. Bagieńskiego, K. Biskiego, W. Araszkiewicza, A. Gawińskiego, B. Jamonta, L. Janowskiego, Z. Jasińskiego, K. Kaczmarskiego, J. Kotowskiego, M. Koźniewskiej, P. Krasnodębskiego, K. Lasockiego, C. Makowskiego, W. Majewskiego, M. Maszyńskiego, J. Małety, A. Piotrowskiego, A. Polkowskiego, T. Pruszkowskiego, M. Puffkego, J. Przesłańskiego, J. Rembowskiego, W. Skoczylasa, L. Stasiaka, K. Strzemińskiego, H. Teodorowicz Karpowskiej.

W krótkim czasie będą również wystawione szkice konkursowe Magistratu m. st. Warszawy p. n. „Obrona Warszawy”, nadesłane do „Zachęty” przez Wydział Kultury Magistratu dopiero w d. 27 b. m. z prośbą o wystawienie, na co Komitet Tow. nie był przygotowany.

Wystawa pośmiertna St. Lentza.

Otrzymujemy od Komitetu Tow. Zach. Szt. Piękn. następującą odezwę: „Sztuka Polska poniosła niepowetowaną stratę przez zgon tak przedwczesny, znakomitego artysty, ś. p. Stanisława Lentza. Komitet T-wa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, pragnąc pamięć Zmarłego uczcić jaknajgodniej, przystępuje du urządzenia wystawy pośmiertnej dzieł zgasłego Artysty i prosi najuprzejmiej wszystkich posiadaczy dzieł Jego o listowne skomunikowanie się w tej sprawie z dyrekcją „Zachęty” (pl. Małachowskiego 3) w najkrótszym czasie. Komitet zabiega o to, aby wzmiankowana wystawa obesłana została jaknajobficiej“

Bibljografja.

Wolny (adwokat). Autonomja Śląska. Nakładem K. Miarki, Mikołów, str. 64, 8-ka.

Maliszewski Edward. Rok 1863 na kresach mohilowskich. Wyd. Straży Kresowej. Warszawa, str. 34, 4-ka.

Adolf Małyszko. (pułk. artyl.) Uwagi starego żołnierza. Str. 40, 4-ka.

Jan Star. Anima nostra. Nakł. „Zdroju” Poznań 1920 r. Str. 140, 4-a.

OD ADMINISTRACJI.

Uprasza się Sz. Prenumeratorów, którzy nie uiścili jeszcze reszty należności za rok bieżący, o wyrównanie rachunku, co da prawo narówni z innymi prenumeratorami „PLACÓWKI” do odbioru **„ALBUM MUNDURÓW“**, przeznaczonego jako premjum bezpłatne za na rok 1920.

Treść zeszytu XIX-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 150.—**
Za przesyłkę pocztową dolicza się kwartalnie: w kraju **Mk. 15.—**, za granicą i w Ameryce **Mk. 25.—**.

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE PLACÓWKA

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka“: **Walenty Zieliński.**

Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.**

Odbito czcionkami „Drukarni Rotacyjnej”, Marszałkowska 148.